

AUTOBIOGRAFIA NARRATORKI 1

CZĘŚĆ I – BIOGRAFIA PRZEŻYTA



Il. 2. Z mamą

Urodziłam się w 1966 roku, roku tysiąclecia państwa, obchodzonego pod hasłem „Tysiąc szkół na tysiąclecie”. Wydawałoby się, więc, że przy takiej statystyce ilość powinna przejść w jakość, ale mnie się tego nie udało dostrzec.

Jako jedynaczka rodziców po 30-tce nie poszłam ani do żłobka, ani przedszkola –



Il. 1. Rodzice

opiekowała się mną niania, przemiła osoba, której za nic na świecie nie chciałam nazywać ciocią upierając się przy „Pani Mili”. Wtedy po raz pierwszy wżyciu udało mi się postawić na swoim mimo braku argumentów. No bo w sumie, co mi to szkodziło? Pani Mili wyraźnie zależało, a ja nic nie traciłam. Z nieznanych mi jednak względów uparłam się, że będę mówić tak jak jest, zgodnie z prawdą i koniec.



Il. 3. Pierwsze zdjęcie szkolne

Z mamą i tatą już tak łatwo nie było, jeżeli czegoś chciałam lub czegoś wyraźnie nie chciałam musiałam ich przekonać. Przekonać nie było trudno, jeśli argumenty były solidne, jeśli jednak nie były – nie było szansy. Zwłaszcza w sytuacji, kiedy coś chciałam ukryć albo nie dopowiedzieć. Nie wiadomo skąd, ale mama zawsze wiedziała, kiedy coś było „nie tak” i drążyła ... aż wydrążyła. Dość szybko więc zorientowałam się, że są osoby znacznie mądrzejsze ode mnie,

posiadające jakiś szósty zmysł czytania we mnie, jak w otwartej księdze i lepiej jest mówić całą prawdę, bo tylko tracę czas.

Szkoła podstawowa: 1973-1981

Moje pierwsze zetknięcie z formalną edukacją odbyło się w zerówce, już wtedy obowiązkowej dla dzieci, które nie uczęszczały do przedszkola. Nie pamiętam z tego okresu zbyt wiele, poza lekcją życiową, którą można by zatytułować: „Pomyśl zanim coś powiesz”. Otóż ujrzałam na pierwszych zajęciach niezwykle pięknego chłopczyka, o kocich, zielonych oczach, okolonych bardzo długimi rzęsami. Z podziwem powiedziałam: „Ale jesteś piękny” i w następnej chwili leżałam na podłodze. Kolega widać poczuł się urażony i walnął mnie z całej siły.

W pierwszej klasie było już lepiej, nie naraziłam się już nikomu na tyle, żeby oberwać. Z tego okresu najbardziej zapamiętałam to, że uczono nas z elementarza Falskiego – takiego samego jak moich rodziców, którzy urodzili się w latach 30-tych XX. wieku. 40 lat jakoś znacząco nie wpłynęło na rozwój nowych metod edukacji, za to stare były już sprawdzone. Przyznać jednak muszę, że nie mam problemów z ortografią czy gramatyką, potrafię szybko policzyć w pamięci, czy opłaca mi się w sklepie kupić opakowanie 0,5 czy 0,75l i odpowiedzieć na większość pytań w teleturnieju „Jeden z dziesięciu”. Z całą pewnością zawdzięczam to porządnym podstawom.

Szkoła miała, w pełni zasłużoną, opinię dobrej, atmosfera była fajna a nauczyciele wiedzieli kim jesteśmy i jak się nazywamy. Do dziś spotykam moją byłą wychowawczynię, która poznaje mnie bez problemu i zawsze wymieniamy kilka miłych słów. Ciekawe jest, że owa starsza już pani wygląda dokładnie tak samo jak w czasach kiedy chodziłam do szkoły, choć minęły już prawie 33 lata. W dodatku była ona nauczycielem WF-u i pamiętam, że korzystając z ładnej pogody zawsze opalała się prowadząc zajęcia na boisku. Nikt wtedy nie słyszał o kremach z filtrem, ale widać istnieją wyjątki i nie wszystkim opalanie szkodzi. No chyba, że pani M. posiada swój portret, jak Dorian Gray schowany za kotarą ...

Nie wiem, czy to kwestia wieku, czy zawsze osoby poznane w dzieciństwie pamiętamy lepiej niż te, które poznajemy później, ale w zasadzie pamiętam każde nazwisko nauczyciela, który mnie uczył. Najlepiej wspominam nauczycieli języka polskiego, matematyki i geografii. Szczególnie ważna była Pani od polskiego. Podkreślająca swój tytuł magistra pani G. była osobą niską i drobną, z charakterem generała. Baliśmy jej wszyscy potwornie przez pierwsze

dwa miesiące, potem zaś wzbudziła powszechny szacunek i uznanie. Była niezwykle wymagająca ale uczciwa w ocenach i kreatywna. Jej zajęcia wymagały od nas 100% skupienia ale były ciekawe i choć wtedy nie było takiego określenia – interaktywne. To nie było: wykłady plus odpytywanie. To był dialog – naprowadzała nas na wnioski, zmuszała do myślenia i twórczej interpretacji. Była też prawdziwą wielbicielką czytelnictwa i aby dostać określoną ocenę trzeba było przeczytać konkretną liczbę książek miesięcznie. Większość z naszych lektur znała i lubiła wrywkowo sprawdzić, czy rzeczywiście przeczytaliśmy daną pozycję. Dała nam taką szkołę, że przez całe liceum nie musiałam już wiele robić i na czwórkę wystarczyło. Nauczyła mnie pisać zwięźle i na temat, zmuszając do pisanie coraz krótszych tekstów wyrażających tę samą treść. Używam tego w pracy do dzisiaj przy tworzeniu artykułów, tekstów marketingowych i ofert handlowych. Jestem jej za to szczerze wdzięczna, tym bardziej, że w liceum nie miałam już takiego szczęścia trafiając na początku na ewidentnie słabego nauczyciela a później na prawdziwą „karuzelę” następców.

Nieco mniej charyzmy ale za to świętą cierpliwość okazywała nam nauczycielka matematyki pani J. Była osobą, której nie można było wyprowadzić z równowagi nawet wtedy, kiedy w ósmej, ostatniej klasie okazało się, że kolega ma problemy z odróżnieniem kwadratu od trójkąta. Pokazała nam jak można całkowicie panować nad emocjami, pomimo ewidentnie sprzyjających zdenerwowaniu okoliczności. Umarła dość młodo na serce, więc jednak gdzieś te emocje musiały się gromadzić. Po jej śmierci pomyślałam, że nie warto było, że wołałabym żeby na nas krzyczała zamiast znosić naszą głupotę i tłumaczyć nam wszystko tyle razy i na tyle sposobów. Pan od geografii z kolei był perfekcjonistą i do dziś obudzona w środku nocy wskażę bez problemu złoża ropy naftowej czy węgla na świecie.

Szkołę podstawową ukończyłam z przyzwoitym wynikiem, posiadając na świadectwie tylko jedną czwórkę (z rosyjskiego, więc politycznie jak najbardziej w porządku) pośród piątek. Tu dodam, że skala ocen była nieco mniejsza niż dzisiaj i operowała wartościami od 2 do 5. Rodzice uważali, że nauka to mój jedyny obowiązek, poza tym oni uczyli się przecież bardzo dobrze w znacznie trudniejszych warunkach więc do głowy nie przyszło mi, że ja mogłabym inaczej.

Kolejną lekcją „życiowej mądrości” był mój „wyścig po świnkę”. Jako dziecko dosyć samotne zapragnęłam zwierzątko, ale ze względu na to, że psa trzeba wyprowadzać, a kot potrzebuje możliwości samodzielnego wychodzenia (mieszkaliśmy w bloku na 4 piętrze) stanęło na zakupie świnki morskiej. Ale nie za darmo - aby na świnkę zasłużyć musiałam

z jednego przedmiotu zbierać 5 piątek pod rząd. To oznaczało, że jeśli zbierałam 4 piątki i kolejną oceną była czwórka, zbierałam od początku. Sztuka ta udała mi się z biologią i tata udał się do sklepu zoologicznego skąd przyszedł z łaciatą świnką, oczywiście najładniejszą na świecie. Świnka ziała pod kanapę, gdzie zrobiła kupę i nie dała się wywabić z ukrycia przez cały wieczór, co nie przeszkodziło w żaden sposób mojemu przeżywaniu szczęścia. W końcu, pomyślałam sobie, że na zaprzyjaźnienie się mamy mnóstwo czasu. Niestety nic bardziej mylnego. Następnego dnia okazało się, że mam okropną wysypkę i lekarz stwierdził alergię. Jego pierwsze pytanie brzmiało: „Czy w domu nie pojawiło się przypadkiem nowe zwierzątko?” Zwierzątko poszło na kwarantannę do piwnicy a mnie następnego dnia minęły wszystkie objawy alergii. Świnka została oddana powrotem do sklepu. Zbieranie piątek kompletnie mi się nie opłaciło.

Na nic także się zdała kolekcja świadectw z biało-czerwonym paskiem. Miały mi zagwarantować pierwszeństwo w dostaniu się do wybranego liceum, ale w moim roczniku zmieniono zasady i wprowadzono nabór do szkół średnich poprzez egzamin. Wtedy po raz pierwszy zrozumiałam, że w życiu pewne są tylko zmiany. Planowanie jest dobre, ale obowiązkowo z planem B w zapasie.

Liceum Ogólnokształcące: 1981-1985

Egzamin jakoś zdałam, dostając się do planowanego liceum. Głównym kryterium wyboru było „kto z mojej klasy idzie” i „żeby było blisko”. To, że przy okazji było to jedno z najlepszych do dziś LO we Wrocławiu to w sumie przypadek. Egzamin, jako forma weryfikująca naszą wiedzę, przyniósł efekt w postaci przeważającej liczby dziewcząt w roczniku. Postanowiono więc wprowadzić jedną wyłącznie żeńską klasę, do której to niestety mnie przyjęto. Okresu liceum nie wspominam miło; było to ostre „zakuwanie”, wewnętrzna silna rywalizacja i bój o stopnie. Samo ukończenie szkoły dawało niejako gwarancję na zdanie egzaminów na studia, więc zaciskałyśmy zęby i trwałyśmy. Do dziś szczerze żałuję, że nie przeniosłam się do szkoły, gdzie panowałaby lepsza atmosfera, gdzie chłopcy z dziewczynami jeździliby na wycieczki, organizowali imprezy i spędzali czas w inny, niż ciągła nauka, sposób. Poziom był wysoki, ale nie nauczyłam się uczyć i w efekcie nie zdałam matury z matematyki. Zaskoczeni byli wszyscy, bo nie byłam aż tak słaba, żeby ktokolwiek prognozował kłopoty. Bardzo to osłabiło moją pewność siebie i na długie lata obniżyło samoocenę.

Liceum także posiadało kadrę charyzmatycznych nauczycieli, którzy przeszli do legendy. Niestety obsada każdego przedmiotu była co najmniej podwójna i można było trafić na zestaw mieszany, świetny albo słaby. Mój należał zdecydowanie do słabych, poza geografem i panią od niemieckiego, którzy reprezentowali ten najwyższy. Niestety moje zainteresowania ewoluowały w kierunku humanistycznym, a nauczycieli z polskiego i historii nie miałam wybitnych. To może wydać się przemądrzaniem; oceną kogoś bez kompetencji do oceniania, ale ponieważ zajęcia fakultatywne oddane były w całości najwybitniejszym nauczycielom mogłam dostrzec różnicę w prowadzeniu zajęć, metodyce i wiedzy. Największe różnice dotyczyły historii, z której fakultet prowadziła słynna we Wrocławiu profesor F. Sposób podania wiedzy był po prostu fascynujący: w wykładach pani F. historię tworzyli żywi ludzie, z wadami i zaletami, którzy decyzje podejmowali z najróżniejszych przyczyn. Jak już się je znało, łatwo było wszystko zapamiętać, a ciąg przyczynowo skutkowy był jasny. Coś fantastycznego.

I praca 1985-1986

Po otrzymaniu dyplomu ukończenia szkoły ale bez matury poszłam do pracy, bo namówiła mnie koleżanka, której mama pilnie poszukiwała pomocy do działu księgowości. Praca była potwornie nudna i tak naprawdę starczało jej na 4-5 dni w miesiącu. W pozostałe dni siedziało się i nic nie robiło, przy czym nie wolno było niestety czytać książek (wiem, bo próbowałam). W rezultacie zrezygnowałam po pół roku i ostro wzięłam się za naukę, aby tym razem egzamin zdać.

Kontynuacja nauki

Mama zakupiła mi korepetycje i ustaliła limit dzienny na 8 godzin nauki. W efekcie maturę zdałam z dobrym wynikiem. Przed pierwszą próbą maturalną byłam zdecydowana studiować prawo. Zawsze interesowały mnie prawne aspekty, czytywałam zarówno „Prawo i życie” (takie czasopismo było), jak i wszelkiego typu kryminały. Chciałam zostać adwokatem. Niestety moja samoocena po porażce spadła i nie odważyłam się tam zdawać, bo konkurencja była bardzo ostra a poziom kandydatów wysoki. Praca w księgowości odstręczyła mnie również od pracy biurowej, dlatego zdecydowałam się na archeologię. W tym momencie zdałam sobie sprawę, że nie wspomniałam o moim odwiedzaniu muzeów i uwielbieniu dla ekspozycji „Życia jaskiniowca”. Otóż od dziecka uwielbiam muzea

i wystawy. W czasach mojego dzieciństwa, w całym bloku socjalistycznym odwiedzanie ich było śmiesznie tanie, więc do ulubionego Muzeum Archeologicznego chodziłam regularnie, kilka razy w roku. Ekspozycja stała była faktycznie stała (nie to co teraz) i nie zmieniała się aż do czasów przemiany ustrojowej i przeprowadzki muzeum do budynku Arsenалу. Najbardziej podobała mi się taka makietka za szklaną szybą przedstawiająca wnętrze jaskini z rodziną jaskiniowców. Była fascynująca. Myślę, że znacznie później podjęta decyzja o zostaniu archeologiem mogła mieć podłoże w fascynacji makietą...



Rzeczowym argumentem natomiast była bardzo duża szansa na dostanie się na studia i to przynajmniej ciekawe, no i zasadniczo męskie. Ponieważ komuna trzymała się mocno, aspekty typu czy da się zarobić na życie po ukończeniu studiów w moim pokoleniu praktycznie nie były rozważane, chyba że ktoś wybierał się na medycynę lub prawo. Dla utalentowanych szansą były studia artystyczne, zaś ekonomia postrzegana była jako miejsce tych, którzy nie dostali się na kierunki wybrane. Egzamin zdałam bez problemu, dostając się w pierwszym naborze (było nas tylko 10 osób, po odwołaniach zwiększyliśmy stan do 18).

Studia wyższe 1986 - 1991

Na studiach zaczęłam się uczyć w zespole; po raz pierwszy uczyłam się z kimś, nie sama zamknięta w pokoju. Odkryłam, że nie miałam pojęcia o uczeniu się, a nowa metoda okazała się niebywale skuteczna. Uczyliśmy się we dwie, lub trzy, powtarzając aż do skutku definicje, klasyfikacje i typologie. Szło nam na tyle dobrze, żeby bez problemów przechodzić kolejne lata, nie przemęczając się zbytnio w okresie poza sesją. Zdarzało mi się zdawać całkiem przyzwoicie egzaminy z przedmiotów, na które zwyczajnie nie uczęszczałam albo robiłam to sporadycznie. Rekordem jest chyba zaliczenie filozofii po roku wykładów, z których byłam na jednym.

Poznałam fajnego chłopaka, kolegę kolegi, zakochałam się i wyszłam za mąż. Zamieszkaliśmy w wynajętym mieszkaniu, na które zarobił mój mąż nosząc worki i sprzątając stadion w Goeteborgu.

Motywacja do nauki wzrosła mi bardzo, bo potrzebowałam pieniędzy a jedynym sposobem ich zdobycia było dla mnie stypendium naukowe. Okazało się, że jak mi zależy to potrafię się uczyć na piątki a nie tylko „zaliczać”. Niestety dość szybko okazało się również, że jest to zawód i pasja dla ludzi bardzo odpornych, którzy od wczesnej wiosny do późnej jesieni pracują w terenie i zarabiają marne grosze. Sama archeologia okazała się znacznie nudniejsza niż przygody Indiany Jonesa - wymagała ogromnej precyzji i pamięci do szczegółów. Natomiast sama atmosfera i ludzie byli po prostu cudowni. Prawdziwy zestaw oryginałów. Szczególnie wspominam niezwykle przyjaźnie nastawionego do młodzieży profesora B., specjalistę od mezolitu (średnia epoka kamienia), uroczego i dowcipnego mężczyznę o ogromnej wiedzy i kulturze. Uwielbiałam też własnego promotora, profesora W. , który na



Il. 5. Podróż poślubna

pierwszym
roku o mało

Il. 4. Na wykopaliskach

co nie wyrzucił połowy naszego składu (na egzaminie z Archeologii Polski w pierwszym terminie oblał 12 osób z 18, co skomentowaliśmy jako wynik 1:2 dla niego; uratowały nas egzaminy poprawkowe). Później przekonałam się, że jest rzetelny, sprawiedliwy i bardzo chętnie pomaga studentom, zwłaszcza „swoim” czyli zainteresowanym neolitem (młodszą epoką kamienia). Był fantastyczny, wielki i tubalny, wykladał piękną polszczyznę, wyczelowanymi zdaniem, w których nie było jednego nieprzemyślanego słowa.

Okres studiów był dla mnie najlepszym okresem w życiu, niemniej po jego zakończeniu nie bardzo wiedziałam co z sobą zrobić. Pracy na uczelni mi nie zaproponowano, w muzeum wolne były tylko etaty par pilnujących sali, samodzielnej działalności nie chciałam zakładać.



Il. 6. Przy pisaniu pracy magisterskiej

Ustrój się zmienił, uniwersytet stracił patrona (był nim Bolesław Bierut), zajęcia w zawodzie nie było dla nas wszystkich, a zarobić jakoś trzeba było.

II praca – lata 1992-1993

Dzięki znajomościom męża, który ukończył wydział wzornictwa przemysłowego wrocławskiej ASP i pracował jako wolny strzelec, dostałam pracę w agencji reklamowej. Był rok 1992 i kapitalizm raczkował, więc interes wydawał się dobry. Zostałam sekretarką (w etacie miałam szumnie wpisane: kierownik sekretariatu) w kilkusobowej firmie. Na etacie byłam ja i moja szefowa – właścicielka firmy, plus kilku świeżych absolwentów i studentów ASP na umowę-zlecenie. W późniejszym okresie pojawiła się koleżanka, której formy zatrudnienia już nie pamiętam – ale pracująca tylko przez kilka godzin dziennie i kolega, który został dyrektorem i prawą ręką właścicielki. Po raz pierwszy w życiu postawiono przede mną komputer, którego obsługi uczył mnie mąż szefowej, dr informatyki, specjalista stanowczo zbyt poważny do takiego zadania. Nie znam wielu osób, które komputer poznały wyłącznie od strony „narzędzia pracy” a nie rozrywki, ale dla mnie efektem tego jest użycie komputera wyłącznie w tym charakterze. Nigdy nie wciągnęłam się w gry komputerowe, nie spędzam przy nim wolnego czasu, a w pracy absolutnie nie wyobrażam sobie, jak mogłoby go zabraknąć. Ja w ogóle nie jestem w stanie sobie wyobrazić, w jaki sposób pracowano wcześniej. To pozostaje poza moim pojmowaniem.

Ale wracając do agencji – nauczyłam się w niej bardzo wiele. Zarówno tego jak powinno się obsługiwać klienta, jak należy podchodzić do pracy, ponieważ dewizą agencji

było rzetelne wywiązywanie się ze zobowiązań. Pracowaliśmy nie 8 ale 7 godzin dziennie – od 9 do 16 (decyzja pani prezes) ale za to intensywnie. Każdy dzień rozpoczynaliśmy spotkaniem przy kawie, na którym omawialiśmy bieżące zadania i rozliczaliśmy się z dnia poprzedniego. Teraz regularne spotkania zespołu to standard, ale w 1991 roku nikt tak nie pracował. Nauczyłam się samodzielnej realizacji powierzonych zadań, a zakres obowiązków miałam dosyć szeroki: prowadzenie sekretariatu agencji reklamowej, prowadzenie i nadzór reklamy prasowej klientów, układanie media planów, negocjowanie warunków handlowych, współpraca przy badaniach marketingowych (ankietowe, focus group etc.), kierownictwo organizacyjno-techniczne podczas sesji zdjęciowych, fakturowanie oraz windykacja należności. Całkiem niezła szkoła dla osoby, która ukończyła archeologię i o działaniu przedsiębiorstwa miała mgliste pojęcie. Co ciekawe moi rodzice ukończyli studia ekonomiczne w Łodzi (dziś to wydział Uniwersytetu Łódzkiego, wtedy to była tylko Szkoła Wyższa). Nie za wiele mogli mi jednak pomóc w pracy, ponieważ ich edukacja i życie zawodowe upłynęło w przedsiębiorstwach socjalistycznych, więc pojęcie o konkurencji czy obsłudze klienta było, delikatnie mówiąc, nieaktualne.



II. 7. Z mężem w pracy

Pierwsza praca zazwyczaj zostaje człowiekowi w pamięci, moja także z tego względu, że to właśnie tam poznałam swoją najlepszą przyjaciółkę.

Przepracowałam tam równo 2 lata i w zasadzie z pracy byłam bardzo zadowolona, niemniej problemem było dość niskie wynagrodzenie. Na początku było to dla mnie jasne – agencja dopiero się rozkręcała więc trudno było wymagać, aby tak od razu generowała zyski. Niemniej po pewnym czasie kontraktów było coraz więcej, więcej było pracy – bo było więcej klientów do obsłużenia a pensja zamarła. Kiedy świętowaliśmy realizację dużego, bardzo dochodowego zlecenia usłyszeliśmy plany szefowej, dotyczące zakupu nowych mebli. Zorientowałam się, że w tej firmie na różne rzeczy będą pieniądze ale nie dla pracowników i zdecydowałam odejść. O pracę było wtedy znacznie łatwiej niż teraz, i z polecenia dostałam

propozycję przejścia do firmy informatycznej na „panią od marketingu”. Firma nie była wówczas jeszcze tak duża jak obecnie i nie zatrudniała na stałe nikogo od marketingu, była to więc dla mnie ogromna szansa. Nie wiem, czy mój ówczesny szef, prezes firmy docenił moje kompetencje czy po prostu gorliwość i chęć podjęcia się zadania, grunt że mnie przyjęli i tak zaczęłam przygodę z największą obecnie firmą informatyczną, oferującą oprogramowanie wspomagające zarządzanie przedsiębiorstwem na Dolnym Śląsku. Przepracowałam w niej w sumie 8 lat i rozstałam wcale nie z własnej woli. Ale o tym później.

III praca – lata 1993-1999 (czynnie do 1996)

Rozpoczęłam od stanowiska specjalista ds. marketingu, mając wiedzę o tym w jaki sposób działają agencje reklamowe. Wówczas było to najczęściej czyste pośrednictwo między firmą, która miała potrzebę, artystą plastykiem, który wykonywał projekt i drukarnią bądź gazetą, które drukowały foldery bądź ogłoszenia. Uzbrojona w rzeczywistą – praktyczną wiedzę, kto co robi najtaniej i najlepiej, a kto najszybciej, oraz co ile naprawdę zabiera czasu mogłam od razu oszczędzić firmie całkiem niezłe pieniądze. To bardzo ważne, bo jak usłyszałam niedawno pracownik dla pracodawcy jest zawsze pewnym kosztem a niepewnym zyskiem.

Zaczęłam od BTL (materiały papierowe o firmie i produktach) i gadżetów oraz organizacji ekspozycji targowych, które dzielnie obsługiwałam przy stoisku wraz handlowcami. Jeździło się do Poznania, Katowic i Warszawy na najważniejsze w Polsce targi komputerowe. Obecność wszystkich firm z branży była niejako obowiązkowa. Należało do mnie także badanie konkurencji i ocena jej możliwości w aspekcie publikowanych materiałów, ekspozycji targowych, etc. Było to jeszcze przed erą Internetu więc trudniej było dotrzeć do informacji. Wszystkiego uczyłam się początkowo sama, dopiero w 1995 roku po raz pierwszy w życiu wzięłam udział w szkoleniu. Było to kilkudniowe szkolenie pt.: „Profesjonalne sprzedawanie” do dziś istniejącej firmy O. Zarząd przekonał się o wartości kompetentnej kadry i chyba jako jedna z pierwszych firm w Polsce T. zdecydowała się zakupić dla pracowników cały szereg specjalnie przygotowywanych dla firmy szkoleń. Ale nie podjęto tej decyzji na chybił-trafił, najpierw zatrudniono firmę konsultingową. Wynajęta firma (z samej Warszawy, do dziś istnieje i ma się świetnie) przeprowadziła z pracownikami

wywiady mające na celu ocenę kompetencji i braków poszczególnych osób. Część załogi musiała się z firmą pożegnać, część awansowano, ja zostałam na swoim stanowisku, ale stwierdzono, że powinnam się także zająć tworzeniem ofert handlowych, które do tej pory indywidualnie pisali handlowcy. Wytłumaczono nam wszystkim, jak ważna jest dobrze zrobiona oferta, nie tylko merytorycznie, ale także logicznie i plastycznie. Przydzielono całą odpowiedzialność za materiały wychodzące z firmy mojej osobie, co skutkowało tym, że musiałam posiąść znacznie bardziej szczegółową wiedzę na temat produktów i usług firm. Byłam z tego bardzo zadowolona.

Firma zapewniła nam cały cykl szkoleń miękkich od asertywności poprzez umiejętności negocjacyjne i kreatywność. Część szkoleń odbywała się w firmie, część organizowana była wyjazdowo. Firma zatrudniała coraz więcej osób, stale także podwyższała pracownikom wynagrodzenia. Sytuacja wydawała się idealna, ale ludzie są tylko ludźmi i atmosfera zaczynała się psuć. Presja na wyniki była coraz większa, zaczęły się więc „wojenki kadrowe”, przepychanki, walka o wpływy. A ja robiłam się coraz starsza i coraz mniej „chciało mi się chcieć” – zbliżałam się do 30-tki i własny mąż zaczął mnie nieśmiało nagabywać w sprawie dziecka. Ponieważ w spadku po babci dostałam malutkie, jednopokojowe mieszkanie nie byliśmy już skazani na wynajem. Wolne środki przeznaczaliśmy na budowę własnego domu. Kupiliśmy kompletną rudę 45 km od Wrocławia i zaczęliśmy ją remontować. Chociaż za samo kupno zapłaciliśmy niewiele, to remont był praktycznie budową, zjadał każdą naszą złotówkę i zapowiadał się na długie lata. Zdecydowaliśmy więc wziąć kredyt i zamienić mieszkanie babci na trochę większe, takie w którym dałoby radę zmieścić także dziecko. W marcu 1996 znaleźliśmy odpowiadające nam mieszkanie (prawie całe 50 m²), podpisaliśmy umowę przedwstępną po czym wykonaliśmy plan i w remoncie pomagałam mężowi już jako ciężarna. Pożyliśmy całe 26 000 zł (to nie pomyłka, cena metra kwadratowego we Wrocławiu wynosiła wówczas 1 000 zł) a spłaciliśmy go po 8 latach płacąc 46 000 zł. Słynny już dziś kredyt Alicja oprocentowanie miał zabójcze (nie pamiętam dokładnie, ale chyba ok. 26% rocznie). Innych nie było, ale za to była inflacja, więc jakoś dało radę.

Wychowywanie dziecka 1996-1999

W grudniu 1996 urodziłam córeczkę i rozpoczęłam nowy etap w życiu. Na początku wykorzystałam urlop macierzyński (wtedy przysługiwały całe 3 miesiące) i zaległy wypoczynkowy, potem zdecydowałam, że wezmę także wychowawczy. W pracy się na mnie obrażono, ale nie potrafiłam się zmusić do pozostawiania córki. Wciągnęło mnie bycie mamą. Zresztą nie bardzo mogłam postąpić inaczej. Pogorszył się bardzo stan zdrowia mojego ojca, więc na swoją mamę nie mogłam liczyć, moja teściowa pracowała jeszcze zawodowo a do nikogo obcego zaufania nie miałam. Ponieważ nie wychowano mnie w kulcie pieniądza postanowiłam, że jakoś skromnie damy radę a córka będzie miała najlepszą opiekę jaką mieć może – czyli moją. (Do dziś dużo ważniejsze jest dla mnie jest kim się jest, a nie to, co się posiada.)

Pierwszy okres był dość trudny - córeczka urodziła się z główką przykurczoną na bok, co wymagało dość intensywnej rehabilitacji, a w wieku 3 miesięcy zachorowała na zapalenie płuc. No i bardzo niewiele jadła, więc jako matka bez doświadczenia lekko nie miałam. Trochę w amoku przetrwałam najgorszy okres, wsparciem dla mnie był lekarz pediatra, polecony przez znajomą lekarkę (żonę kolegi), jako najlepszy jakiego zna. Pan doktor wymagał ode mnie żelaznej konsekwencji, nie przyjmował wymówek, że się nie da tylko wygłaszał krótkie komunikaty, że albo mi się uda, albo dziecko wyląduje w szpitalu, a to najgorsze co może je spotkać. Jako lekarz szpitalny wiedział co mówi i od czasu do czasu wspominał o jakimś szczególnie drastycznym przypadku. Lata 90-te w polskich szpitalach były okresem przed remontami, spod nieszczelnych okien wiało, utrzymanie czystości pozostawiało do życzenia, personel był arogancki. Gronkowiec i zapalenie wątroby grasowały na oddziałach. Zrozumiałam, że ma rację, że jeśli dziecko wymiotuje jeśli podaję mu co godzinę łyżeczkę lekarstwa, to muszę podać mu 10 kropli co 15 minut, i że to jest do zrobienia. Zrozumiałam, że musi mi się udać, bo nikt inny tego za mnie nie robi a to ja jestem najbardziej na świecie zainteresowana w tym, żeby się udało. Nigdy nie miałam problemów z odpowiedzialnością, jako jedynaczka i córka jedynaków miałam to niejako wrodzone, ale dopiero teraz zostało mi to



Il. 8. Jako matka z dzieckiem

uświadomione. Ostatnio usłyszałam o sobie, że ludzie mają różne priorytety w życiu, np. u mnie na miejscach od 1 do 8 jest odpowiedzialność... Cóż nic dodać, nic ująć.

Zorganizowałam dom na nowo, mąż zajmował się pracą a ja wszystkim innym. Dzięki temu, że dziecko co prawda nie jadło ale za to spało, wygospodarowałam sporo czasu i



II. 9. Samodzielność dziecka

uzupełniłam lektury (wreszcie przeczytałam całe „Wahadło Foucaulta” Umberto Eco i wiele innych, wymagających wolniejszego tempa czytania, dzieł). No i okropnie przytyłam, w dodatku nawet nie wiem kiedy.

Pierwszy z ciosów, jakie miało dla mnie życie padł wiosną. W dniu kobiet, zupełnie niespodzianie umarł mój ojciec. Choć przebywał w szpitalu, nikt z nas nie miał świadomości, że jego stan jest tak poważny. Rzekomo wszystko było dobrze i za kilka dni miał być wypisany do domu. Umarł we śnie, spokojnie i jak nas zapewniono – bez bólu. Zniosłam to mężnie, bo musiałam – moja mama załamała się kompletnie. Do 40 rocznicy ślubu zabrakło im miesiąca.

Czas leciał, 2 lata minęły jak chwila. Dziecko robiło się coraz bardziej samodzielne, a ja miałam coraz mniej do roboty, trzeba więc było wracać do pracy. Mnie brak pieniędzy nie przeszkadzał ale mężowi doskwierała jego samodzielna odpowiedzialność za budżet domowy.

Powrót do pracy 1999–2001

Dziecko poszło do przedszkola a ja wróciłam do pracy. Zaoferowano mi nowe stanowisko, ponieważ moje nie mogło pozostać tak długo nieobsadzone. Ucieszyło mnie, że zadaniami, które wykonywałam obdzielono aż dwóch Panów. Zostałam koordynatorem sprzedaży i przesunięto mnie do części marketingu zajmującego się obsługą posprzedażową (czyli obsługą pozyskanych już klientów). Obowiązki nie wymagały intelektu ani wysiłku: pozyskiwanie i kompletowanie danych na temat klientów i ich preferencji, udział w przeprowadzaniu telefonicznych badań rynkowych, bieżąca obsługa. Pensję otrzymałam adekwatną do obowiązków, czyli marną. Po roku udało mi się przenieść do działu marketingu

zajmującego się nowymi klientami. Pensja nadal marna, ale przynajmniej wyzwanie większe. Jak się ma tak dobre produkty i fachowców, jak firma T. wtedy, utrzymanie klienta który już kupił i namówienie go do nowych zakupów jest nieporównanie łatwiejsze od zdobycia nowego. Firmy informatyczne mnożyły się jak drożdże a prosperity wydawała się nie mieć końca. Praca była zespołowa i polegała przede wszystkim na organizacji seminariów i konferencji, organizowaniu i przeprowadzaniu akcji mailingowych, e-mailingowych oraz telemarketingowych. Wkrótce też mogłam wykorzystywać swoją wiedzę, przejmując współpracę z agencjami reklamowymi (kosztorysy, projekty, negocjacja cen, realizacja). Wysłano mnie także na szkolenie z Strategii kreatywnego myślenia Walta Disney'a. Disney był świadomy, że aby odnieść sukces trzeba połączyć naturę marzyciela z działaniem menedżera kontrolującego koszty. Do dziś jego imperium symbolizuje połączenie wizji artysty z wizją potentata finansowego. Biznesowa mądrość Disneya pozwalała ludziom w jego organizacji marzyć i tworzyć, wspierała, zachęcała i wynagradzała pracowników, którzy wykorzystywali jego strategię do tworzenia nowych pomysłów, rozwiązywania problemów i planowania. Szkolenie było jednym z najciekawszych, w jakich uczestniczyłam lecz wiedzę z niego znacznie lepiej jest wykorzystywać w większych zespołach. Jak tylko zaczęłam być zadowolona z pracy okazało się, że nie jestem potrzebna. Na początku zwolniono po kilka osób z każdego działu, w ciągu kolejnych kilku miesięcy firma zwolniła prawie połowę załogi. Przyszła recesja. Jako, że wg mojego szefa byłam nowa w dziale (nie policzył mi stażu pracy ogółem, tylko w jego zespole) miałam to szczęście znaleźć się szybciej od innych na rynku pracy. Dlatego w tydzień znalazłam sobie nową posadę.

Lata 2001-2005

Poszłam do firmy konkurencyjnej, robiącej produkty i oferującej usługi bardzo podobne, o podobnej funkcjonalności, ale nieco słabszej jakości i bez marki. Natomiast dzięki bardzo oryginalnemu sposobowi zarządzania, recesja firmy nie dotknęła. Zostałam szefową jednego pracownika, którego po niedługim czasie zmuszona byłam zwolnić. Kolega nie tylko nie przykładał się do pracy ale jeszcze nie miał o niej pojęcia i ignorował moje polecenia wyraźnie mając za złe, że przyjęli mu „babę” za szefa. Jak najszybciej się dało ścięgnęłam do działu koleżankę z poprzedniej firmy, osobę która jako zwolniona w kolejnej fali miała już mniejsze możliwości szybkiego zdobycia nowej posady za to kwalifikacje znacznie wyższe niż potrzebne do tej pracy, no i sporą determinację. Na rynku pracy w branży IT robiło się coraz

gorzej. Kryzys szalał, a mój nowy szef znalazł fantastycznego kontrahenta zagranicznego. Nikomu nie znana mała firemka, z którą robił interesy i której wyłączne przedstawicielstwo w Polsce bez trudu uzyskał, została kupiona (z całym majątkiem i załogą) przez jeden z największych koncernów informatycznych na świecie. Przed moim pracodawcą otworzyły się zupełnie nowe możliwości, a mój dział wzbogacił się o kolejną osobę. Zakres obowiązków ograniczył się do pozyskiwania potencjalnych klientów do dalszej „obróbki” przez fachowców, wyszkolonych z nowego produktu. Naszym zadaniem była kwalifikacja i identyfikacja potencjalnych klientów, ustalanie potrzeb, weryfikowanie kondycji biznesowej potencjalnych klientów a także redagowanie i opracowywanie ofert przetargowych. Szkoleń w firmie nie przewidziano.

W październiku 2001 spadł cios drugi – moja mama, całe życie chorująca na wątrobę dostała krwotoku wewnętrznego i zmarła nie odzyskawszy przytomności. To było straszne – znów odeszła najbliższa mi osoba a ja nawet nie mogłam się z nią pożegnać. Stałam przy łóżku, trzymałam ją za rękę do końca. Koszmar. Myślałam, że nic gorszego nie może się już stać. Myliłam się.

W 2005 kryzys zaczął się cofać a ja postanowiłam zmienić pracę. Wykorzystałam umiejętności tworzenia masowego mailingu oraz profesjonalne bazy danych i z trzech bardzo fajnych propozycji pracy wybrałam ... - tą, w której najgorzej poszła mi rozmowa kwalifikacyjna.

Lata 2005-2010

Sama do dziś nie rozumiem kryteriów, jakimi kierowałam się przy wyborze właśnie firmy A. , bo ani firma duża, ani znana, ani oferowana pensja nie była wcale najwyższa. Za to najzabawniejsza była rozmowa kwalifikacyjna, bo wg moich ustaleń wcale do takiej firmy nie wysyłałam CV. Zapytana czy wiem czym się zajmują odpowiedziałam zgodnie z prawdą, że nie mam pojęcia. Absolutny dramat. To, że potem zaoferowali mi posadę potraktowałam jako wyzwanie – nie mogłam nie spróbować. Później wyjaśniło się, że firma zmieniła nazwę oraz adres (korespondencję sobie sprytnie przekierowali) więc nie udało mi się zidentyfikować, że firma P. z ul. J. to teraz firma A. z ul. M. Dostałam posadę kierownika działu marketingu i sprzedaży - po raz pierwszy w życiu miałam nie tylko „przygotowywać grunt” ale także finalizować sprzedaż. Była przerażona i zachwycona. Po raz pierwszy mogłam liczyć na prowizję od sprzedaży; mój los finansowy był w moich rękach. Ofertę firmy

stanowiły szkolenia i doradztwo z zakresu tworzenia oprogramowania oraz sprzedaż narzędzi usprawniających projektowanie systemów. Zaczęłam nieśmiało, ale pozostali pracownicy chętnie pomagali mi się wciągnąć i zrozumieć na czym dokładnie polega oferta. W firmie panowała fantastyczna, kumpelska atmosfera. Przez pierwsze 2 lata pracowało się cudownie; każdego ranka cieszyłam się na nowy dzień w pracy. Zakres obowiązków był duży: sprzedaż szkoleń, doradztwa oraz oprogramowania, redagowanie ofert handlowych, organizacja i udział w spotkaniach handlowych, negocjowanie warunków kontraktów, ustalanie kierunku działań promocyjnych, kierowanie pracami zespołu projektowego, zajmującego się organizowaniem konferencji i pozyskiwaniem sponsorów, współpraca z czasopismami i portalami branżowymi, zarządzanie i administrowanie firmową stroną www. Pracy było mnóstwo ale była bardzo ciekawa, i co bardzo ważne, klienci byli bardzo zadowoleni z usług firmy, co przekładało się na świetne referencje i polecenia. Prawie wszyscy klienci słyszeli o nas dobre rzeczy od innych. Szef umiał nas zmotywować, pokazać, że mu na nas zależy. Tu drobny prezent, tu słowo uznania, no i pełne wsparcie w rozwiązywaniu problemów. Na samym początku zainwestował w nas (razem ze mną przyjęto kilka nowych osób) zamówione w renomowanej firmie B. szkolenie ze sztuki prezentacji i wystąpień publicznych, po którym każdy z nas otrzymał indywidualnie przygotowane wytyczne i wskazówki wraz z oceną potencjału i możliwości.

Niedługo później w Polsce ruszyły szkolenia dofinansowane z Unii Europejskiej. Wreszcie wykładowcy, do tej pory dostępni cenowo tylko dla korporacji mogli nauczać także personel firm MŚP. To był prawdziwy przełom, koszty były prawie żadne, jedyne co stanowiło trudność to oderwanie pracownika od bieżących obowiązków (co w małej firmie zawsze jest problemem). W ciągu 5 lat przeszkoliłam się na kursach:

- ✓ z zakresu nowoczesnego marketingu internetowego,
- ✓ z zarządzania projektami,
- ✓ z zarządzania produktem,
- ✓ z asertywności w zarządzaniu,
- ✓ z profesjonalnej prezentacji,
- ✓ z umiejętności negocjacji.

Do tego zdobywałam wiedzę branżową uczestnicząc w konferencjach i seminariach organizowanych przez własną firmę, które co prawda nie były skierowane do mnie ale do ludzi zajmujących się zawodowo tworzeniem systemów informatycznych. Oczywiście na

pewnym stopniu ogólności ale poznałam podstawy wiedzy z zakresu procesu wytwórczego oprogramowania. Do tego dodać muszę wewnętrzne warsztaty i szkolenia ze strategii, ale nie uważam niestety żeby akurat te były udane.

Wtedy spadł na mnie cios trzeci. Znowu zupełnie nieoczekiwanie, znowu bez jakichkolwiek symptomów, z których można by wyczytać czarną przyszłość. W 2009 roku mój, wydawało się zdrowy i silny mąż zmarł na atak sepsy spowodowany niewykrytym nowotworem, chłoniakiem. Miał 43 lata.

Nawet teraz, po 4 latach nie jestem w stanie o tym pisać więc napiszę tylko, że nie było to doświadczenie, które wpłynęło na mnie pod względem edukacyjnym. Żadna ze śmierci bliskich, które mnie dotknęły nie nauczyły mnie kompletnie niczego. Nadal uważam, że na życie mamy wpływ – na śmierć – żadnego. Całe życie byłam ostrożna, kolejne samochody miały coraz lepiej rozwinięte systemy bezpieczeństwa (pasy, poduszki powietrzne, kurtyny), wszyscy mieliśmy kaski na rower i wykupiony pakiet ubezpieczeniowy na wakacje. Zdrowo jedliśmy (żadnej margaryny czy fast foodów), spaliśmy minimum 8 h na dobę, regularnie wyjeżdżaliśmy na wakacje. I ja jestem zdrowa, jak przysłowiowy koń, a mój mąż nie żyje. Piszę to dzień po tym jak w wypadku samochodowym zginął w wypadku samochodowym jeden z moich klientów; miał 26 lat.

Wracając do tematu stwierdzę tylko, że dzięki dobrym ludziom jakoś się pozbierałam, a w zasadzie należy powiedzieć, że się nie rozjechałam. Pierwsza myśl była bardzo konkretna – ratować dziecko. Wynieść z tego pożaru, z tych zgliszczy co się da, pozbierać się i zrobić sobie i córce nowy, inny dom. Znajomy psychiatra nakazał jak najszybciej wrócić do pracy i broń boże się nad sobą nie użalać. Wzięłam sobie bardzo jego słowa do serca, tym bardziej że zupełnie nie miałam pojęcia czy sobie poradzę finansowo. W pracy potraktowano mnie bardzo życzliwie, ale do czasu. Cierpliwość wobec mojego braku wyników skończyła się bardzo szybko i mocno tym zniesmaczona (jednak 5 lat to kawał czasu) z radością przyjęłam propozycję przejścia do nowej firmy. Ponieważ tu nadal pracuję nie będę pisać, o tym co tu robię i czego się uczę, wspomnę tylko że dobrze trafiłam i nadal się rozwijam, nabywając kolejne, nowe umiejętności, głównie w obszarze sprzedaży i zarządzania sprzedażą. Z prognoz ZUS wynika, że będę tak się jeszcze rozwijać 20 lat, aby nabyć uprawnienia emerytalne.

BIOGRAFIA NIEPRZEŻYTA (WYMARZONA)

Widzę kilka różnic w tym, kim jestem i co osiągnęłam, a co mogłam osiągnąć, gdyby nie zabrakło mi determinacji i pracowitości. Gdybym mogła zdać maturę za pierwszym podejściem, zapewne dostałabym się na wydział prawa i dziś mogłabym być adwokatem lub sędzią. Mieć posadę, której utraty bym się nie obawiała, zapewne lepszą pozycję materialną i społeczną. Zapewne wtedy moje losy potoczyłyby się inaczej, wyszłabym za mąż za kogoś innego i nie straciła najbliższej osoby. Zamiast skupiać się na pracy zarobkowej mogłabym działać także społecznie, na co obecnie brakuje mi czasu, choć mam taką potrzebę.